Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

..The.. Polish Fortnightly Digest



Pres. Roosevelt wraz z Prem. Churchill'em w czasie konferencji w Casablance.

Nr. 4/134 19.11.1944 6d.

ROK V.

OKŁADKA: Prezydent Roosevelt i Premier Churchill podczas konferencji w Casablanca.

OŚWIADCZENIE.

Związki i Stowarzyszenia polskie w W.Brytanii podały do wiadomości społeczeństwa następujące oświadczenie, dotyczące "Związku Patriotów Polskich" i ogłoszonego przez nich statutu i deklaracji politycznych.

1. Niektórzy kierownicy Zw.P. /przede wszystkim przewodn. Wanda Wasilewska/ przyjęli dobrowolnie obywat. sow., a tym samym zerwali łączność z Narodem Polskim i pozbawili siebie prawa występowania w Jego imieniu. Oświadczenia Zw.P. wychodzą z terenu, gdzie brak podstawowych warunków do swobodnego wyrażania myśli.
2. W deklaracji z 16.VI.43. Zw.P.P. podważa zasadę nienaruszalności terytorium Rzplitej przez kwestionowanie traktatu Ryskiego, zawartego dobrowolnie przez Zw. Sow. i Rzplitą Polską. Przy akcie tym delegacja sow. posiadała mandat do występowania w imieniu Białej Rusi oraz miała w swym składzie upełn. przedstawicieli Ukrainy. We wspomnianej deklaracji Zw.P.P. przywłaszcza sobie prawo do występowania w charakterze wyraziciela rzekomych dążeń Ukraińców i Białorusinów.
3. Zw.P. przywłaszcza sobie również uprawnienia stanowiące wyłączny atrybut władz Rzplitej. Wystąpił on mianowicie z prośbą do Rządu Sow. o utworzenie wojska pol. na obszarze Z.S.S.R., chociaż szafarzem krwi obywateli pols. może być jedynie Rząd Rzplitej. Zw.P.P. wiadomym było iż Rząd Sow., wbrew układowi zawartemu z Rządem Pol. 30.VII.41., przeszkodził utworzeniu ze wszystkich zdolnych do noszenia broni obywateli pols., przebywających na terenie Z.S.S.R. wojska pol., podległego pols. nacz. dowództwu. Rząd Sow. złamał powyższe umowy i zmusił formujące się oddziały pol. do opuszczenia teryt. Zw. Sow. w 1942. Tworzone obecnie przez Z.S.S.R. z obywateli pols. i au-

Dok. na str. 107.

Patrzmy pilnie w przyszłość...

Domorośli stratedzy i kawiarniani politycy ciągle rozważają kwestię, co uczynić z Niemcami, aby nie mieli więcej możności rozpętania wojny w przyszłości.
Jedni są za długą militarną okupacją, w czasie której możnaby przeprowadzić ich rozbrojenie materialne. Inni doradzają, aby w tym czasie rozbroić Niemców i moralnie.
Niektórzy chcą rozczłonkować Niemcy na drobne państwa i porobić z nich bloki religijne, z przewagą katolików w jednym a protestantów w drugim. Inni pragną wysiedlić choćby jedną trzecią Niemców /głównie Prusaków/ gdzieś w podbiegunowe rejony.
Istnieją jeszcze najrozmaitsze projekty i plany wychowania młodych pokoleń niemieckich w duchu pokojowym, aby stali się zdolnymi do współżycia z innymi narodami w przyjaźni i na stopie zupełnej równości.
Niestety, wszystkie te projekty aczkolwiek tylko w małej cząstce racjonalne, nigdy po zawieszeniu broni nie wejdą w życie. Gdyby Niemcy zostali pokonani przez jedno państwo, dajmy na to W.Brytanię, mającą nawet w swym rydwanie państwa europejskie, nie posiadające w chwili obecnej decydującego głosu, wtedy możliwym byłoby przeprowadzenie długoterminowego rozbrojenia Niemiec, według z góry ustalonych planów. Co najwyżej plany te ulegałyby małym zmianom, stosownie do przemian polityczno-ekonomicznych.
W obecnej jednak sytuacji, gdy trzy wielkie mocarstwa będą rozwiązywały niemiecki problem, ze wszystkich planów i projektów po prostu nic nie wyjdzie.
Mentalność trzech mocarstw jest tak różna, że jednomyślność w sprawach poważniejszych jest zupełnie nie do przeprowadzenia. Zachodzi też obawa, że te trzy państwa, natychmiast po zawieszeniu broni, będą się starały wygrywać Niemców przeciwko sobie. W ten sposób mogą powstać dwa bloki: jeden anglosaski, z sympatiami całej Europy, drugi rosyjski, dążący do absolutnie przeciwnych celów i posiadający chwilowo materialną przewagę na kontynencie.
O tym, żeby te dwa światy przeprowadziły pokojową

pacyfikację w Niemczech, jak jedna ręka, kierowana jednym mózgiem, marzyć nawet nie można. Antagonizmy wyjdą na wierzch na drugi dzień po ogłoszeniu zawieszenia broni, lub też natychmiast po uwypukleniu się sprzeczności interesów obu bloków na którymś z terytoriów, nawet sojuszniczym a okupowanym dzisiaj przez Niemców.

Przypuśćmy jednak że dojdzie do porozumienia i dajmy na to że te dwa światy przeprowadzą swą akcję w Europie, a głównie w Niemczech całkiem jednomyślnie to i takie załatwienie sprawy nie potrafi rozbroić Niemców materialnie, a tym bardziej moralnie.

Historia tej wojny i dokonanego w niej przez Niemców przeogromnego wysiłku, przechodzić będzie z ojca na syna i żyć będzie w narodzie niemieckim w formie tysiąca legend, bardziej podtrzymujących w Niemcach chęć powtórzenia nowej próby zawładnięcia światem, aniżeli mogłyby to uczynić nawet tendencyjnie napisane podręczniki historii hitlerowskiego ruchu i tej wojny.

Pragnienie nowego odwetu żyć będzie pośród Niemców dotąd, dopóki nie przyjdą sprzyjające okoliczności i nie zjawi się nowy "Führer" który potrafi przeprowadzić akcję opanowania Europy z Anglią włącznie pomyślniej nieco, niż to zrobił Adolf Hitler.

Narzuca się jednak najważniejsze pytanie, czy można przeprowadzić materialne rozbrojenie narodu tak silnego pod względem liczebnym i przemysłowym, jakim są Niemcy, uwzględniając przy tym ich wysoko rozwinięty zmysł organizacyjny!

Jeżeli się planuje wojnę, organizuje się pokojowy przemysł w taki sposób, ażeby go można było w stosownej chwili przestawić w ciągu najkrótszego czasu na przemysł wojenny. Niemcy pokazali nam w ciągu 20 lat od 1919 do 1939 roku, że są pod tym względem nader przewidujący. Nie jest przecież możliwym zrównać z ziemią cały przemysł niemiecki i zamienić Niemcy na kraj rolniczo-rzemieślniczy. Musiałaby wtedy Europa pracować na przymierającą głodem połowę mieszkańców Wielkich Niemiec pod grozą, iż w przeciwnym wypadku przewali się przez Europę nowa fala bolszewizmu.

Trzeba więc będzie pozostawić w Niemczech wszys-

tko tak jak było, a nawet dopomagać im znowu, ażeby nędza i bezrobocie nie opanowały tamtejszego życia.

Ale przypuśćmy, że znajdzie się inny sposób zatrudnienia milionów Niemców, pracujących dzisiaj w przemyśle i że będzie można zupełnie zniszczyć ogromną jego część, jako to przemysł hutniczy, chemiczno-syntetyczny i wogóle taki, który najłatwiej służyć może celom wojny.

Czy w tym wypadku da się osiągnąć materialne rozbrojenie Niemiec?

Czy pozwoli to utrzymać pokój w Europie?

Przypuśćmy że Rosja zamieni się na łagodnego baranka, i jako kraj "syty" i posiadający u siebie wszelkie bogactwa, stanie się jedną z podwalin europejskiego porządku. Załóżmy więc że żadnemu narodowi w Europie nie będzie groziło z jej strony żadne niebezpieczeństwo.

Zdawałoby się wtedy, że wobec materialnego rozbrojenia Niemiec i przemiany Rosji, Europa zażywać będzie pokoju przez wiele lat.

Czy tak będzie w rzeczywistości?

Otóż tu popełniamy wielki błąd iż w planach ustalenia przyszłego pokoju, nie bierzemy pod uwagę niewiarogodnego postępu na polu technicznym.

Ciągle myślimy kategoriami obecnymi, a bardzo mało staramy się przewidzieć, jaką formę może przyjąć wojna najbliższej przyszłości. Czy to znowu będzie wojna stali i żelaza? Pancerników, lotniskowców i łodzi podwodnych? Czołgów i samolotów? Coraz potworniejszych armat i miotaczy ognia? A z tym razem dziesiątków tysięcy wozów motorowych i "dżipów"?

Zdaje się, że popełniemy największą omyłkę, nie biorąc pod uwagę takich wynalazków, które pozwolą jednemu zaborczemu narodowi opanować inne, nawet gdyby z całą bezwzględnością miał te inne wytracić co do nogi.

Wojna przyszłości to już nie będzie wojna żelaza i stali. Nie będzie w niej milionowych armii pierwszej linii, posiadających dziesiątki tysięcy czołgów i motorowych samolotów. Nie będzie milowych taborów, dowożących wojsku straszliwe ilości amunicji, żywności, paliwa czasem nawet wody, tlenu

i akcesorii medycznych. Nie, wojna przyszłości to będzie zupełnie inna wojna.

Będzie to wojna elektryczności, rakietowych samolotów, kierowanych radiowymi falami, wreszcie rakietowych pocisków, wyrzucanych na wiele setek mil od upatrzonego celu.

Armia przyszłości nie będzie wymagała przeogromnych taborów, wiozących kolosalne ilości amunicji, żywności, zapasowych części wreszcie tysiąca innych rzeczy.

Nie, armia przyszłości karmić się będzie pigułkami, zawierającymi wszystko, co jest potrzebne do życia ludzkiemu organizmowi.

Każdy żołnierz posiadać będzie przy sobie zapas żywności, wystarczający mu na wiele tygodni.

Nie będzie on dźwigać na sobie broni maszynowej i setek pocisków i granatów. Całym jego uzbrojeniem będzie aparacik elektryczno-dźwiękowy, którego fale zabijać będą w pewnym promieniu wszelkie żyjące istoty.

Armia posuwać się będzie po ziemi, wodzie i w powietrzu na jednych i tych samych wozach, zamienianych w miarę potrzeby na samoloty lub łodzie.

Wóz taki potrafi nawet zmienić się w łódź podwodną, gdy zajdzie tego potrzeba.

Szybkość działania, brak litości dla przeciwnika, energiczne przeprowadzenie akcji - oto elementy przyszłej, bezwzględnej wojny.

Naród, nawet liczebnie mały, który potrafi przygotować się do takiej wojny i będzie posiadał dość energii, ażeby przeciwników zaskoczyć i pokonać w ciągu bardzo krótkiego przeciągu czasu, taki naród może stać się jedynym panem świata.

Wiemy dobrze, kto o tym marzy i kto potrafi być bezwzględnym w przeprowadzeniu czegoś podobnego.

Niemcy, nie będą wahali się ani chwili, jeżeli tego rodzaju możliwości znajdą się w ich rękach. Są oni przy tym genialni, gdy idzie o wprowadzenie w czyn cudzych pomysłów lub w organizowaniu produkcji cudzych wynalazków.

Jeżeli oni pierwsi potrafią wytworzyć kilkadziesiąt tysięcy takich śmiercionośnych aparatów

i zaskoczyć świat, łudzący się, że przyszli Hunnowie nie posiadają ani armat, ani bojowych samolotów, to w tym wypadku łatwo ziszczą się nieprzerwane marzenia Prusaków panowania nad całym światem.

O tym należy w przyszłości pamiętać i brać element niewiarogodnego postępu na polu technicznym poważnie pod rozwagę.

Produkcja śmiercionośnych aparatów elektryczno-dźwiękowych może być wykonywana pod pozorem budowy aparatów radiowych.

Wozy transportowe można produkować w dziesiątkach tysięcy na potrzeby cywilne.

Istnieje przeto możliwość, że najściślejsza nawet kontrola, która w miarę upływu czasu będzie słabła, nie potrafi zapobiec możliwości uzbrojenia się Niemców i wykonania ponownego napadu na świat cały.

Polskie eskapady morskie.

Dużo się czyta i słyszy o bitwach, staczanych przez wielkie jednostki bojowe flot alianckich na dalekich oceanach i morzach świata. Mało się mówi natomiast o codziennych niemal przykładach bohaterstwa i poświęcenia, składanych przez załogi t. zw. małych okrętów, towarzyszących przybrzeżnej flocie W. Brytanii.

Korespondent morski Evening Standard uchyla w jednym ze swych reportaży rąbka tajemnicy, otaczającej toczącą się bez przerwy, we dnie i w nocy, "bitwę wybrzeży brytyjskich" i rzuca ciekawe światło na udział, jaki w niej biorą, między innymi, i marynarze polscy.

Ten urywek wspomnianego reportażu, jako mogący najbardziej zainteresować naszych Czytelników, zamieszczamy poniżej w całości.

Polacy, służący we flocie przybrzeżnej, znaleźli naturalne ujście dla swej brawury i nieustającej pasji, popychającej ich do spotkań z wrogiem. Daje im ona również okazję do pełnego wykazania wysokich wartości w akcji bojowej.

W chwili wybuchu wojny, dwie polskie łodzie motorowe były w stadium wykańczania w jednej ze stoczni na wyspie Wight. Łodzie te przejęła brytyjska ma-

rynarka wojenna, polska zaś otrzymała wzamian trzy kanonierki, przeznaczone do współdziałania z lekkimi jednostkami floty brytyjskiej.

Z pośród wielu akcji w jakich te kanonierki brały udział w lecie w 1942 r., na szczególne wyróżnienie zasługuje walka, stoczona przez jedną z nich, w rezultacie której jej dowódca uzyskał miano " małego Nelsona".

Pewnej nocy, kiedy lekkie jednostki floty brytyjskiej nawiązały kontakt z nieprzyjacielem na wodach kanału La Manche, jedna z polskich łodzi, pełniąca służbę patrolową na wschód od flotylli brytyjskiej, dostrzegła sześć niemieckich ścigaczy. Łodzi tej, noszącej nazwę S.2, towarzyszyła uprzednio inna, S.3. Na skutek defektu w motorze ta ostatnia zmuszona była powrócić do portu.



Małe jednostki w akcji.

Około godziny pierwszej po północy kanonierka S.2, ze względu na stwierdzoną bliskość przeważających sił nieprzyjacielskich, otrzymała rozkaz powrotu do bazy, względnie przyłączenia się do jednostek brytyjskich.

Wówczas to dowódca łodzi powziął decyzję, która właśnie przyniosła mu przydomek "małego Nelsona". Pod pretekstem niezrozumienia otrzymanego rozkazu i nie oglądając się na pomoc, którą mógł łatwo uzyskać, zaatakował on w pojedynkę przeważające siły z taką furią, że zmusił je do rozsypki, uszkadzając przy tym ogniem armatnim niektóre z niemieckich ślizgaczy.

Nieprzyjaciel, zorientowawszy się w swej ogromnej przewadze, usiłował otoczyć atakującą go łódź, jednak wściekła odwaga, z jaką jej załoga walczyła, sprawiła

takie zamieszanie u przeciwnika że jego łodzie zaczęły ostrzeliwać same siebie. W rezultacie conajmniej jeden ze ścigaczy się zapalił a dwa inne zostały poważnie uszkodzone.

Polska kanonierka, zadowolona z pomyślnych wyników swej nocnej pracy, wycofała się z akcji i odpłynęła w kierunku bazy, doznawszy tylko powierzchownych uszkodzeń i bez strat w ludziach.

W drodze powrotnej napotkała na spieszące jej z pomocą jednostki brytyjskie, a nieco później także i kanonierkę S.3, która, pomimo defektu w motorze, postanowiła przyłączyć się do walki, toczonej przez jej siostrzaną łódź.

Jeden z wyższych oficerów marynarki brytyjskiej, gratulując polskiemu dowódcy kanonierki odniesionego sukcesu i wspaniałego bojowego ducha, jaki wykazał, zauważył przy tym: "stosowanie metod walki Nelsona nie zawsze zapewnia osiągnięcie tak pomyślnych rezultatów".

W tym jednak wypadku rezultaty, osiągnięte przez polskiego dowódcę, były dlań nader pomyślne, otrzymał on bowiem w uznaniu wykazanego bohaterstwa brytyjski D.S.C. i polski krzyż Virtuti Militari.

Jeden z brytyjskich oficerów w rozmowie z korespondentem tak scharakteryzował Polaków: "Walczą, jak lwy. Pokazać im cośkolwiek niemieckiego, to gorzej, niż głodnemu psu kość. Na swoich zaś okrętach i wszędzie, gdzie się ich spotyka, są oni najbardziej czarującymi ludzmi, jakich zdarzyło mi się widzieć."

Pochodzenie Prezydenta Roosevelta.

Poniżej podajemy ciekawe streszczenie pierwszych rozdziałów biografii Prezydenta Roosevelta, pióra Compton Mackenzie.

Pisarz biograficzny, szukając wróżb i znaków szczególnych, towarzyszących urodzeniu jakiegoś wybitnego męża stanu, musi przyjrzeć się uważnie scenie współczesnego życia politycznego. Franklin Delano Roosevelt urodził się 30 stycznia 1882 r., w epoce niepozbawionej znaków i wróżb szczególnych dla jego przyszłej kariery politycznej.

" Rok ten został rozpoczęty w Niemczech powtórze-

niem się ponownego prześladowania Żydów. Wskazywało to, że w Prusach, pomimo ich chełpliwej cywilizacji, zachowały się jeszcze średniowieczne uczucia dzikiej nietolerancji w stosunku do ludzi innej rasy lub religii".

Tymi słowami rozpoczyna się w "Annual Register" przegląd wydarzeń politycznych w Niemczech z 1881 r. W roku tym istniało silne napięcie stosunków międzynarodowych, spowodowane okupacją Tunisu przez Francuzów. W 1882 r. Bismark podburzał znowu Europę, gdyż pragnął zapobiec zajęciu Egiptu przez Francję i W. Brytanię - zabiegowi koniecznemu dla bezpieczeństwa żeglugi na kanale Suezkim.

Włochy były rozczarowane, gdyż sposób załatwienia sprawy Tunisu przez W. Brytanię postawił je w sytuacji kłopotliwej: "Zawód z powodu Tunisu... skłonił zarówno rząd jak i naród włoski do szukania innych sprzymierzeńców i chętnie dawano tam posłuch głosom, nalegającym na związanie losów Włoch z Niemcami... jako z jedynym mocarstwem w Europie, którego interesy były indentyczne z interesami Italii."

Doprowadziło to do stworzenia przez Bismarka t. zw. "trójporozumienia" /sojuszu Niemiec, Austro-Węgier i Włoch."

W cztery miesiące później Gambetta odpowiadał swym krytykom w francuskiej Izbie Deputowanych: "Są ludzie, którzy dopuszczają możliwość konfliktu Francji z W. Brytanią. W pełnej świadomości interesów i pomyślności mego kraju i po głębokim rozważeniu naszej najbliższej przyszłości powtarzam z największym przekonaniem, że wszelki konflikt z W. Brytanią byłby najbardziej nierozumnym i nieuzasadnionym posunięciem.... Za cenę nawet największych poświęceń i ofiar nie zrywajcie nigdy sojuszu z W. Brytanią. Interesy Francji nie mogą być obronione bez tego sojuszu i wzajemnego porozumienia. Jeżeliby nastąpiło zerwanie, wszystko jest stracone w obszarze Sródziemnego Morza."

Gdy Roosevelt miał ledwie dwa tygodnie, rosyjski minister spraw zagranicznych zdezawuował starego generała Skobelewa, który przyjął w Paryżu grupę studentów serbskich i oświadczył im,

że starcie między światem germańskim i Słowianami jest nieuniknione oraz wyraził nadzieję spotkania się wkrótce ze swymi słuchaczami na polu bitwy przeciwko wspólnemu wrogowi. "Niemców jest pełno w Rosji i opanowali ją całkowicie. Rosjanie są okpiwani przez politykę Niemców, padają ofiarą ich intryg i są niewolnikami ich siły." Generała Skobelewa pospiesznie odwołano do Petersburga, lecz jeszcze po drodze w Warszawie oświadczył w gronie Polaków, że gdyby w Polsce nie było garnizonu rosyjskiego to byłby garnizon niemiecki. W Petersburgu publiczność zgotowała mu gorącą owację lecz od cara dostał surową admonicję. Jednakże idee nihilistyczne, poczyniły tak zastraszające postępy we wszystkich sferach rosyjskiego społeczeństwa, że według opinji Kölnische Zeitung na temat nadania Rosji konstytucji "największym zagadnieniem zaprzątającym umysł cara i jego doradców jest nie w jaki sposób należy dobrze rządzić Rosją, lecz jak wogóle utrzymać się przy władzy."

Na trzy miesiące przed narodzinami Roosevelta prezydent Stanów, Garfield, został zamordowany przez chicagowskiego prawnika, opanowanego maniacką myślą że "jedynym sposobem połączenia dwuch frakcji republikańskiej partii i uchronienia republiki, aby nie dostała się w ręce demokratów, jest usunięcie prezydenta." Uczynił to przy pomocy rewolweru. Szalony akt zrozpaczonego człowieka, nie mogącego znaleść dla siebie właściwej pracy, przyczynił się bardzo do ugruntowania przekonania, że administracja państwowa musi być wyzwolona od nacisków czynników partyjnych. Zrozumiano też, że w interesie godności narodu i rozwoju jego właściwości, należy dążyć do podniesienia autorytetu federalnych władz państwa.

Gdy Franklin liczył zaledwie dwa miesiące, jego młody kuzyn, wybrany niedawno do zgromadzenia stanowego w Nowym Yorku, oskarżył sędziego Westbrooka o sprzedajność i zmowę z Jay Gouldem oraz o shańbienie stanu sędziowskiego przez współdziałanie z bogatymi i nieprzebierającymi w środkach

spekulantami giełdowymi. Był to Teodor Roosevelt.
W dzień urodzin Roosevelta jeden z wielkich domów bankowych zawiesił wypłaty i spowodował silne przesilenie finansowe w Europie. Kryzys nie dotknął wtedy W. Brytanii. Tutaj Gladstone w przemówieniu budżetowym przyznał, że łagodna zima była przyczyną deficytu wynoszącego 85.ooo funtów w "podatku spadkowym", o którym ciągle pisano w cudzysłowie, gdyż taką wtedy jeszcze był nowością. Poza tym zamożni ludzie byli mocno rozczarowani, iż kanclerz skarbu nie obniżył podatku dochodowego z pięciu do czterech pensów od jednego funta.
Wreszcie ostatni znak, związany z urodzeniem się Roosevelta. W sześć tygodni po jego przyjściu na świat, płk. Barnaby, zaopatrzony jedynie w pled, kilka kanapek i butelkę mineralnej wody, przeleciał przez kanał La Manche w balonie, osiągając rekord szybkości 30 mil na godzinę na wysokości 2.ooo stóp.
Gdyby narodziny Roosvelta nastąpiły o rok wcześniej czy rok później, nie wpłynęłoby to bardzo na ukształtowanie się jego sylwetki duchowej. Lecz była to najwyższa, dopuszczalna przez przeznaczenie rozpiętość czasu, jeżeli miał wypełnić zadania, do których według przekonania milionów ludzi, został wyznaczony. Trudno sobie wyobrazić, aby rola, którą los wyznaczył temu człowiekowi do odegrania w dramacie, przeżywanym dzisiaj przez ludzkość, miała być wypełniona nie przez Amerykanina a co więcej przez tak loo-procentowego Amerykanina, jakim jest Roosevelt. Musimy pamiętać, że izolacjonizm był kierunkiem myślowym, wyhodowanym zarówno przez niewygodne poczucie pokrewieństwa z Europą, jak i przez miłe poczucie bezpieczeństwa z powodu odległości geograficznej, dzielącej Europę od Ameryki.
Pełnej krwi amerykańskie pochodzenie Roosevelta ułatwiło mu stwierdzenie faktu, że z chwilą osiągnięcia poczucia wspólnoty narodowej, kraj jego nie będzie mógł sobie pozwolić na polityczne odosobnienie od reszty świata. A wszak w jego żyłach nie płynie ani jedna kropla krwi, któraby pochodziła od człowieka, mającego poza sobą mniej niż 2oo lat osiedlenia się na amerykańskiej ziemi.

W początkach 17-go wieku młody Holender Claes Martenzen /Mikołaj syn Marcina/ opuścił małą wioskę Rosenvelt /Rosefield/ i z Amsterdamu lub innego holenderskiego portu wyruszył w świat. Syn jego, Mikołaj, urodzony na farmie w Manhattan, miał dwuch synów Jana i Jakóba. Potomkiem starszego był Teodor Roosevelt, młodszego - Franklin Delano Roosevelt. Starsza linia zachowała dłużej swe holenderskie pochodzenie, aniżeli młodsza. Dziad Teodora Roosevelta, Korneliusz Van Schaak Roosevelt, był czystej krwi Holendrem. Dziad Franklina, Izaak Roosevelt, miał przewagę krwi angielskiej z drobną domieszką krwi holenderskiej, szwedzkiej, niemieckiej i francuskiej.

Pomiędzy Holendrami i Anglikami panowały w Ameryce nader przyjazne stosunki. Nowy Amsterdam /obecnie Nowy York/ był uznawany od początku jako miasto kosmopolityczne. Prawdą jest jednak, że gdy w 1653 r. przyszła wiadomość, iż Cromwell przygotowuje armię ekspedycyjną przeciwko miastu, wybudowało ono obronny mur w poprzek Manhattan / na pamiątkę tej budowli jedna z głównych ulic New Yorku nosi dotychczas nazwę Wall Street/. Ale gdy Karol II mianował swego brata, Księcia Yorku i Albany, właścicielem terenów, położonych między rzeką Connecticut a wschodnią częścią zatoki Delaware, przedstawiciel księcia i gubernator, płk. Ryszard Nicolls, posiadał w gronie swych najlepszych współpracowników burmistrza Nowego Amsterdamu i innych znakomitych obywateli miasta. Zamiana instytucji holenderskich na angielskie dokonała się spokojnie i taktownie. Nowa Holandia i Nowy Amsterdam stały się stanem i miastem Nowy York. Fort Orange na rzece Hudson zamienił się na fort Albany. W istocie rzeczy już w 17-ym wieku zarówno Holendrzy jak i Anglicy postanowili być jedynie Amerykanami.

Z chwilą wybuchu wojny o niepodległość Stanów pra-pra-dziad Franklina, Izaak, był wybitnym obywatelem Nowego Yorku i handlował cukrem. Został on wybrany członkiem prowincjonalnego kongresu i odgrywał bardzo czynną rolę w walce o niepodległość. Gdy Nowy York zdobyły wojska angielskie, Izaak

Roosevelt opuścił miasto i udał się do hrabstwa Dutchess, gdzie zaciągnął się do 6-go pułku milicji tego hrabstwa. Był członkiem senatu rodzinnego stanu od 1777 do 1783 r. oraz jako obywatel Nowego Yorku, witał 25 listopada 1783 r. gen. Washingtona i jego armię.



Prez. Roosevelt w otoczeniu najbliższej rodziny.

Syn Izaaka, Jakób, ożenił się z Marią Elizą Walton, córką Abrahama Waltona, zamożnego kupca i armatora. Izaak Roosevelt poza różnymi swymi zajęciami, był również prezesem banku stanowego a pod każdym względem był to "businessman". Syn jego, Jakób, pozostał również kupcem, lecz widocznie wyjazd z Nowego Yorku do hrabstwa Dutchess obudził w nim zainteresowanie do życia wiejskiego. W każ-

dym razie sprzedał on tereny w Harlemie, które mogłyby w przyszłości stać się wielką fortuną i wybudował sobie dom na Albany Post Road. Syn Jakóba, Izaak ożénił się z Marią Rebeką Aspinwall, pochodzącą w prostej linii od pierwszych purytańskich kolonistów angielskich. Syn Izaaka - Jakób, a ojciec Franklina, urodził się w 1828 r. Ożenił się po raz pierwszy z panną Howland, z którą miał syna Jakóba. Żona jego wkrótce zmarła a dom na Albany Post Road uległ spaleniu.

Jakób Roosevelt był także kupcem, lecz mimo to wieś pociągała go silnie. Kupił więc obok Hyde Parku w pobliżu Nowego Yorku, nad rzeką Hudson 500 akrów ziemi wraz ze starym dworem i osiadł tam jako właściciel ziemski. Oczywiście, posiadane kapitały i kierownictwo kilku przedsiębiorstw, dawało mu również pokaźne dochody. Dobudował nowe skrzydło do starego dworu, poczynił inne inwestycje i ferma zaczęła dawać dochody. Mając 52 lata poślubił Sarę Delano.

Matka Franklina była jedną z pięciu pięknych córek Warrena Delano. Była o 26 lat młodszą od męża, a jej rodowód amerykański był nawet lepszym niż jej małżonka. W 1621 r. Filip Dellanoye, z pochodzenia Francuz urodzony w Leydzie, przyjechał na małym statku do Plymouth w stanie Massachusetts i wszedł w środowisko pierwszych angielskich kolonistów, przybyłych tam o rok wcześniej. Jego syn Jonathan poślubił pannę Mercy, córkę Ryszarda Warrena. Żona Ryszarda Warrena wraz ze swymi pięcioma córkami przybyła do Plymouth w 1623 r. i o 40 lat przeżyła swego męża. Ta nadzwyczajna kobieta, mająca odwagę pozostać w tych czasach w wdowim stanie, mając lat 70 jeszcze kupowała ziemię. Zmarła w 1673, a na grobie kazała wyryć napis: "Pani Elżbieta Warren, długoletnia wdowa, żyjąc zbożnym życiem ponad 90 lat, ułożyła się w swym grobie jak strącone, dojrzałe ziarno".

Matka Franklina, miała za sobą pięć pokoleń, pochodzących od tej nadzwyczajnej kobiety.

Delanowie byli armatorami, zamorskimi kupcami i żeglarzami. Dziad Franklina prowadził rozległy handel z Chinami. Na 20 lat przed urodzeniem się

Franklina, Sara Delano podróżowała do Kantonu na pokładzie statku, wiozącego herbatę. Przez pamięć dla bardzo kochanego i urodziwego wuja swego Franklina, nadała to imię synowi. Gdyby nie ta jej decyzja, dziecko według zwyczaju rodziny Rooseveltów otrzymałoby imię Izaaka. Z pośród wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych przed Franklinem Delano Rooseveltem, tylko pięciu z nich pochodziło od pierwszych kolonistów, przy czym Teodor Roosevelt również nie był jednym z nich. Zarówno Mussolini, któremu się zdawało, że jego nocna koszula jest rzymską togą. jak i Hitler, który po nocach zaczytywał się rozmowami Tora i Wotana, znają Amerykę jedynie z filmów. Tło historyczne i środowisko, z którego pochodzi Roosevelt jest całkowicie poza zasięgiem wyobraźni tych dwuch ignorantów, dwuch wodnych robaków, ślizgających się ledwie po powierzchni historii.

Nie potrafią oni nawet zrozumieć znaczenia i wyższości pewnych moralnych pojęć i założeń. Przodkowie Mussoliniego giną gdzieś w pomrokach febrycznych mgieł prowincji Romańskiej, przodkowie Hitlera - w mrowisku środkowej Europy. Dla obydwu z nich Stany Zjednoczone to jedynie kraj, do którego uciekają szczury z tonącego okrętu - jak nazywają Europę - aby tam porastać w pierze. Dla żadnego z nich Stany Zjednoczone, nie są narodem. Po prostu nie są oni w stanie pojąć, że w ciągu ostatnich 3oo lat urobiło się w Stanach pełne świadomości poczucie amerykańskiej wspólnoty narodowej, co daje Rooseveltowi prawo przemawiania w imieniu narodu, w którym obudziła się odpowiedzialność za losy Europy.

Slepota jest uleczalna

Philip Harkins daje w amerykańskim Collier's Magazine nadzwyczaj interesujący opis operacji oczu niewidomych ludzi.

W jednym z nowojorskich hoteli oczekuje pewien młody Kanadyjczyk na telefon od swego chirurga. Pozostanie niewidomym już na zawsze, jeżeli nie potrafią znaleść dla niego małego kawałeczka rogówki, zdjętej z innego ludzkiego oka i przeszczepionej do

jego oka.

Rogówka oczna jest wielkości amerykańskich srebrnych 10 centów. Jej przezroczysta, cienka jak papier warstwa, jest wygięta i otacza tęczówkę i źrenicę oka podobnie, jak szkiełko otacza tarczę zegarka. Nie jest łatwo zdobyć oko, posiadające jeszcze zdolność widzenia. Można uzyskać je od osoby dopiero co zmarłej, która wyraziła swą zgodę na to, albo też od człowieka, któremu wyjęto oko z powodu uszkodzenia,bez naruszonej przy tym rogówki. Takie oko może być nawet przesłane samolotem z innego miasta, jeżeli jest dobrze przechowane w lodzie. Chirurdzy jednak nie chcą czekać na nowe oko dłużej niż 12 godzin.

Kanadyjczyk doczekał się wreszcie wiadomości że jego lekarz zdobył dobrą rogówkę do przeszczepienia. Serce młodego człowieka mocno zabiło z podniecenia. Następne kilka godzin odpowie na pytanie, męczące go od wielu lat: czy będzie mógł on znowu widzieć? Czy uda się ten jeden z najbardziej delikatnych chirurgicznych zabiegów?

Operacja pierwsza trwała 20 minut. Po dwuch tygodniach zdjęto bandaże i wtedy stał się cud! Przez małe okienko, umieszczone na oku, pacjent wyraźnie widzi palce chirurga i uśmiech na twarzy pielęgniarki. Wypoczywa on potem przez miesiąc, poczym poddaje się operacji drugiego oka.

W trzy miesiące później chirurg otrzymał na Boże Narodzenie kartę z Kanady: "Właśnie przeszedłem szczęśliwie przez badanie oczu i zostałem przyjęty do kanadyjskiego lotnictwa".

Chirurg, Dr.Ramon Castroviejo, który wykonał tę operację, ma za sobą około 500 wypadków przeszczepienia rogówki w presbiteriańskim ośrodku zdrowia w Nowym Yorku. Udało mu się zupełnie 90 procent operacji.

W każdym wypadku przywrócenia wzroku przez powyżej opisane przeszczepianie, wydawało się pacjentowi i laikom, że stał się cud. Autor opisu obecny był w gabinecie lekarskim chirurga ocznego, gdy zjawił się robotnik dokowy, któremu przed kilku tygodniami został przywrócony wzrok. Powiedział on: "Gdy odłamek stali uderzył mnie, pomyślałem

sobie: "koniec, już nigdy nie będę widział tym okiem" Wszyscy w stoczni byli tego samego zdania, lecz na szczęście doktór dokonał przeszczepienia rogówki i proszę na nie spojrzeć".

Spojrzałem. W środku oka, tuż nad źrenicą, znajdował się mały, jasny kwadrat. "To jest moje okienko na świat" - powiedział robotnik. "Widzę przez nie tak samo dobrze jak drugim okiem, które nie było uszkodzone. Moi towarzysze pracy ciągle przychodzą do mnie, wpatrują się w oko i kręcą głowami z podziwu. Sądzą oni, doktorze, że jest pan cudotwórcą".

Udana operacja przeszczepienia rogówki była przed dziesięciu laty więcej niż cudem. Lecz wkrótce potem mała grupa chirurgów ocznych, Tudor Thomas w Anglii, Filatow w Rosji, Elschnig w Czechosłowacji i Ramon Castroviejo w Stanach Zjednoczonych, poczęli zbierać bogate żniwo z długoletnich doświadczeń.

W ciągu wieków ludzie marzyli o możliwości takiej operacji. W 1798 r. francuski chirurg, Pellier de Quengsy, próbował wszyć szklany krążek w zamgloną rogówkę ludzkiego oka. Nie dało to rezultatu: oko ludzkie nie mogło znieść obecności obcego ciała. Przez cały XIX wiek chirurdzy robili doświadczenia z przeszczepianiem oczu zwierzęcych. Również bez skutku. Rogówka zwierzęca stopniowo ulegała zepsuciu. Chirurdzy jednak nie chcieli przyznać się do porażki i rozpoczęli bardzo delikatne i skomplikowane doświadczenia, używając do przeszczepiania oka ludzkiego. Dzisiaj prawie w każdym wielkim mieście w Stanach znajdują się chirudzy, którzy wykonują tą trudną operację. Przeszczepianie rogówki nie jest bynajmniej środkiem na wszystkie rodzaje ślepoty. Na stu dziewięćdziesięciu niewidomych z powodu uszkodzenia rogówki, zaledwie dwudziestu może być uleczonych przy pomocy tej operacji.

Sama operacja podobna jest do artystycznej pracy miniaturzysty, pracującego na ułamkach milimetra. Wszystko jest wykonywane w nieprawdopodobnie małej skali. Instrumenty wyglądają jak narzędzia do manicure. Klamerki odciągające powieki są tak małe, że nazywają się "moskitowymi klamerkami".

Mała lampka rzuca krążek światła na niewidzące, nieruchome i znieczulone oko. Chirurg zręcznie chwyta klamerkami powieki i przywiązuje je z tyłu jedwabną nitką.

Następnie przy pomocy pary powiększających szkieł dokładnie studiuje zamgloną rogówkę. "Sądzę iż potrzebujemy kawałka wielkości 5 milimetrów". Jest to kawałek rogówki wielkości jednej piątej kwadratowego cala. Przeszczepiany kawałek musi być zawsze bardzo mały, gdyż gałka oczna pacjenta mogłaby się zapaść, gdyby usunięto całą rogówkę.

Palce chirurga chwytają instrument, zakończony parą ruchomych, równoległych ostrzy w kształcie płóz do sani. Kładzie nożyczki na wyjałowionej linijce i odmierza dokładnie 5 milimetrów. Może on wycinać teraz identycznej wielkości kawałki z dokładnością do tysiącznej części cala, najpierw z oka pacjenta, a później z ofiarowanego oka. Najpierw nacina on delikatnie zarysy pięcio-milimetrowego kwadratu na zamglonej rogówce. Następnie cieniutką igłą szyje luźną,podobną do pajęczyny siatkę dookoła i ponad narysowanym kwadratem. Siatka jest w ten sposób wykonana,że gdy się ją później naciągnie i napnie, będzie ona przytrzymywała przeszczepiony kawałek rogówki dokładnie w jednym miejscu. W błyszczącym pokoju operacyjnym jest bardzo cicho, słychać tylko szum wentylatora. Obserwujący operację przysuwają się bliżej do chirurga, który przy pomocy małych nożyków i nożyczek, odcina kwadracik zamglonej rogówki i usuwa ją z oka pacjenta.

Z oka zamiennego wycina identycznie taki sam co do wielkości kawałek do przeszczepienia. Oko za oko. Chirurg podnosi mikroskopijny kawałek zdrowej rogówki maleńką szpachlą. Ten kawałek zsuwa on w pusty kwadracik w oko pacjenta - pasuje doskonale. Ponad przeszczepionym kawałkiem naciąga siatkę z jedwabnych nitek, zręcznie wiąże węzełek w jednym końcu i operacja skończona.

Pacjent posiada obecnie okienko z jasnej i zdrowej rogówki,przez którą światło dotrze do siatkówki. Zdarza się czasami, że światło dociera do oka pacjenta w czasie operacji i z pod prześcieradeł i ręczników słychać wtedy podniecony okrzyk:

"Mogę widzieć!". Lecz na wszelki wypadek oko pacjenta spowija się czarnym jedwabnym bandażem. Przez dziesięć dni musi on leżeć płasko na wznak z unieruchomioną głową. W 6-ym dniu usuwa się szwy. Po 14-u dniach zdejmuje się bandaż i jeżeli wszystko jest dobrze, pacjent widzi ponownie.

Przeszczepianie rogówki jest obecnie wydarzeniem niemal codziennym. Mimo to, będzie ono zawsze stanowić cud.

Trzeźwa ocena polityki Kremlu.

Prasa i brytyjska opinia publiczna zaczynają coraz bardziej zdawać sobie sprawę z istotnych celów i zamiarów polityki rosyjskiej. Dotychczasowy łatwy i krótkowzroczny optymizm zaczyna ustępować miejsca wnikliwej krytyce i głębokiej analizie. Przykładem charakterystycznym pod tym względem może służyć artykuł OBSERVERA p.t. "WHAT RUSSIA HAS IN MIND" zamieszczony 6 lutego b.r.

Nagła zmiana konstytucji sowieckiej, zmieniająca Związek Sowiecki z federacji w konfederację, nie jest organicznym wynikiem historycznego procesu, jak to miało miejsce w wypadku Statutu Westminsterskiego w 1931 r.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat partykularyzm czy też odrębności poszczególnych części Związku Sowieckiego ulegały zmniejszeniu, a nie powiększeniu. W ciągu obecnej wojny nie odgrywały one żadnej politycznej roli. Poszczególne republiki Związku Sowieckiego nie usiłowały uzyskać większej niezależności narodowej i obecne rozluźnienie węzłów federacyjnych nie jest wynikiem jakiegoś widocznego i powszechnego pragnienia ze strony ludów Związku Sowieckiego. Poprzedni ustrój federacyjny nie wykazał żadnych pęknięć czy też słabości organicznej. Niema więc wyraźnego powodu natury wewnętrznej dla przeprowadzonej obecnie "rewolucji z góry". Jeżeli więc niema powodu, musi być w takim razie jakiś cel. Tego rodzaju posunięć i reform nie przeprowadza się bez wyraźnego celu. Obowiązkiem naszym jest ocenić ten cel właściwie, gdyż może on dotyczyć nas bezpośrednio.

Należy od razu odrzucić błędne przypuszczenie, że Związek Sowiecki chce tą drogą powiększyć swój udział w konferencji pokojowej, w komitecie U.N.R.R.A lub też w innych międzynarodowych ciałach. Decyzji w sprawach polityki międzynarodowej nie osiąga się przy pomocy większości głosów, a znaczenie i waga jakiegoś kraju w instytucjach międzynarodowych nie może być mierzona liczebnością jego delegacji. Polityka Kremlu nie była nigdy prowadzona po amatorsku.

Obecnego posunięcia sowieckiego nie można więc wytłumaczyć ani powodami natury wewnętrznej, ani też względami procedury czy reprezentacji dyplomatycznej. Można jednak znaleść od razu wyjaśnienie, jeżeli spojrzy się na zagadnienie od strony bieżącej polityki zagranicznej Rosji.

Udzielenie pół-niepodległości obecnym członkom Związku Sowieckiego nie ma dla nich większego znaczenia i niewiele zmienia faktycznie ich obecną sytuację. Lecz posunięcie to bardzo wybitnie ułatwia i toruje drogę przystąpienia do Związku Sowieckiego przyszłych jego nowych członków.

Małe narody znajdujące się w trudnej i niezbyt bezpiecznej sytuacji, mogą uznać, że lepiej poszukać schronienia w ramionach Rosji Sowieckiej, tym bardziej jeśli można to uzyskać bez zupełnej utraty własnej indywidualności i odrębności. Nowa konstytucja sowiecka zabezpiecza te właśnie możliwości. Przygotowuje ona jak gdyby dom na przyjęcie nowych lokatorów. Zamienia ona Związek Sowiecki na twór bardziej elastyczny. Otwiera ogromne możliwości dla polityki ekspansywnej i wchłaniającej.

Takie wyjaśnienie istotnego znaczenia zmiany konstytucji staje się tym prawdopodobniejsze, gdy zestawimy je z ostatnimi posunięciami Sowietów w dziedzinie polityki zagranicznej. Rosja oświadczyła, ze bezwarunkowo zamierza zagarnąć ponownie państwa bałtyckie, Besarabię i ziemie zabrane Polsce w 1939 r., oraz Finlandii w 1940 r. Dla osiągnięcia jedynie tego celu nie potrzeba tak poważnych konstytucyjnych zmian, gdyż na początku wojny Sowiety obeszły się bez nich.

Obecnie istnieją wskazówki, że aspiracje i dąże-

nia sowieckie sięgają znacznie dalej.

Traktat, zawarty ostatnio między p.Mołotowem a prezydentem Beneszem, jest według wyjaśnień tego ostatniego czymś więcej niż zwykłym układem sojuszniczym. Oznacza on daleko posunięte upodobnienie się do Związku Sowieckiego oraz asymilację polityczną i gospodarczą Czechosłowacji. W powszechnie przyjętym języku politycznym układ ten wskazuje, że Czechosłowacja staje się "satelitą" Sowieckiej Rosji. Zaś nowa sowiecka konstytucja pozwala Czechosłowacji stać się faktycznym członkiem Sowietów, w sposób niemal niedostrzegalny. W stosunku od przyszłej Polski, zarówno p.Benesz jak i rosyjscy mężowie stanu stwierdzili wyraźnie, iż pragnęliby aby poszła ona tą samą drogą.

Rozumowanie powyższe opiera się na dotychczas ujawnionych faktach. Co do dalszych posunięć polityki rosyjskiej, można tylko stawiać luźne przypuszczenia. Jeśli chodzi naprzykład o Niemcy, to Rosja dokonała szeregu nieraz sprzecznych ze sobą posunięć i oczywistym jest, że wyraźnie zastrzegła sobie ostateczny między nimi wybór. Lecz w każdym razie nie ma nic fantastycznego w przypuszczeniu, że jedna czy kilka niemieckich republik ludowych mogłyby łatwo znaleść się w gronie satelitów sowieckich lub - co jest również całkiem możliwe - w nowej i elastycznej strukturze konfederacyjnej Sowieckiego Związku.

Jeżeli nasze rozważania są słuszne, to jest oczywistą rzeczą dla każdego nieuprzedzonego obserwatora, że dalsze istnienie oddzielnych i suwerennych, małych i średnich państw europejskich staje się problematyczne. Cóż jest dziwnego w planie rosyjskim, pragnącym zapobiec wyłonienia się Europy, zjednoczonej pod obcą kontrolą, przez skupienie u swego boku możliwie największej części tej Europy? Jednym ze środków, który prawdopodobnie będzie przeszkadzać Rosji w osiągnięciu jej celów, jest stale wysuwany przez propagandę Goebbelsa "straszak" bolszewicki: "marsz zwycięskiego Hunna", tym razem socjalistycznego Słowianina. Przykład Niemiec wskazywałby, że oznacza to wojnę przeciwko całemu światu, gwałtowny i

zjednoczony opór całej Europy i oczywistą ruinę narodu, któryby wybrał rolę Hunnów.

Jeżeli jednak odrzucimy myśl militarnego podboju, to atuty Rosji, mogące dopomóc jej do wchłonięcia Europy są obecnie bardzo silne. Rosja otoczona jest aureolą swych zwycięstw; pociąga niektórych swym systemem gospodarczym, który okazał się dość sprawnym; posiada niezawodne poparcie partii komunistycznych we wszystkich krajach. Poza tym w południowo-wschodniej Europie posiada ona dalsze atuty w postaci świeżo rozbudzonego panslawizmu. Wreszcie dzięki nowej strukturze konstytucyjnej Rosja stworzyła podstawy systemu, w którym mogą się zmieścić inne państwa.

Trzeba wreszcie dodać, że Rosja posiada silne poczucie realizmu, nieustraszność, oraz świadomość swych celów, które są istotnymi składnikami każdego działania i polityki...

Dok. za str. 86.

tochtonów sow. oddziały podległe są dowództwu sow. i stanowią narzędzie polityczne Rządu Sow. w zwalczaniu niezawisłości naszej Ojczyzny.

4. Zw.P.P. nadużywa nazwy "patr.pols." jak też imion bohaterów narod.: KOŚCIUSZKI, DĄBROWSKIEGO, EMILII PLATER i wprowadza w błąd opinię najszerszych warstw Polaków przez obłudnie patriotyczne i narodowe frazesy.

5. Zw.P.P. w swych wystąpieniach i publikacjach usiłuje rozerwać więź moralno-prawną Polaków, stanowiącą w czasie tej wojny największą naszą siłę i dąży do podważenia autorytetu nacz. władz Rzeczyp., stanowiących legalne i konstyt. przedstawicielstwo państwa pols. wobec świata cywilizowanego. W ten sposób utrudnia obronę interesów państwa i narodu pols. w stosunkach międzynarodowych.

Stwierdzamy że organizacja ta podająca się jako Zw.P.P. skupia w sobie renegatów, używanych do rozbijania PaństwaPol. Opinia polska powinna być powiadomiona o istnieniu i działalności garstki tych szkodników. Protektorzy ich usiłują przenieść akcję Zw.P.P. do krajów anglosas., maskując ją na różne sposoby. Opinia narodu naszego jest zdrowa i jednolita. Musi wszakże być czujną, by nie dać się zwieść nazwom i hasłom i przeciwstawić się wszędzie akcji, będaeej zdradą narodową.

Załadowanie się następuje piorunem. Szofer podjeżdża, hamuje, my prawie w biegu ładujemy się i już jedziemy. Na polu za osadą zatrzymujemy się i następuje przykry moment wysłuchania "dyktatu" szoferskiego. A więc zawiezie nas do Preszowa. O tym, żeby jechać dalej, mowy niema, bo droga w stronę Koszyc nie odgarnięta. Zapłacimy za to 1200 koron.

Po opłaceniu pobytu w karczmie pozostaje nam tylko 1000 koron, więc próbujemy się targować. Szofer stanowczo nie zgadza się obniżyć ceny i musimy się zgodzić. 1000 koron płacimy mu zaraz, resztę zaś zapłacimy po sprzedaniu w Preszowie pierścionka. Jedziemy.

Wycieczka przez Słowację, gdyby nie ciągły niepokój, byłaby nawet przyjemna, bo pogoda ładna i widoki piękne. Mijamy bez zatrzymywania się Kieżmark, gdzie widzimy dużo hitlerowskich flag i ruiny jakiegoś zamczyska, a potem na serpentynie, wśród lasu, nawala nam kicha i stajemy. Szofer przystępuje do zmiany koła, a nas prosi, abyśmy się trochę rozeszli i nie siedzieli taką gromadą w aucie. Zostaje więc przy nim profesor, a my oddzielnymi grupkami idziemy sobie naprzód. Tu następuje przykre spotkanie, które szczęściem dla nas odbywa się na bezludnej drodze, a nie w ludnym Toporcu. W chwili kiedy zniecierpliwieni długim czekaniem na samochód zawracamy /Olszewski, Jurek i ja/ i idziemy z powrotem, podchodzi do nas jakiś Słowak i, wyciągając rękawiczkę pyta się:

- Nie wyście stracili rukawicu?

Odpowiadam z miną Niemca, nie życzącego sobie rozmawiać w innym języku, że nie, że rękawiczka nie nasza. Czy uwierzył, nie wiem, ale nic nie odpowiedział, a po chwili odjechaliśmy.

Przed Preszowem zatrzymujemy się. Nie chcemy do znajomego profesora zajeżdżać całą kupą. Tym bardziej, że nie wiemy, kogo u niego możemy zastać. Profesor jedzie tam sam, w towarzystwie jednego tylko z nas, a my, reszta, czekamy tu na drodze na samochód, który po nas wróci. Spacerujemy więc znowu parami to w jednym, to w drugim kierunku z minami spieszących się gdzieś ludzi. Ukryć się nie ma gdzie, a droga ludna. Znowu nerwy naprężone. Ale trwa to niedługo,

bo samochód nadjeżdża i odwozi nas na miejsce.

Mijamy właściwy dom, który mi szofer pokazuje i wysiadamy cokolwiek dalej. Wracamy pieszo. Przy bramie stojący w niedbałej pozie Olszewski zawraca i odchodząc, wskazuje nam drogę. Okazuje się, że nie idziemy do właściciela sklepu, a do domu dalszej jego rodziny.

&

& &

Jesteśmy więc w Preszowie. Dwie trzecie zadania wykonaliśmy. Teraz tylko skok przez granicę węgierską i kłopot z przedostaniem się z Koszyc do Budapesztu. Z daleka i w pierwszej chwili po przybyciu do Preszowa ta pozostała część podróży wydawała się głupstwem. Wszystkie narady kończyły się zwykle na wyrażeniu przekonania że byle się dostać do Preszowa, to tam dalej już głupstwo.

Jak się okazuje, dotychczasowa nasza podróż przemyślana była dobrze, a najdalej posunięta ostrożność, przy pewnej, niezbędnej dozie szczęścia dała w wyniku to, że odbyliśmy ją bez zbędnych komplikacji. O ile w końcowej części podróży komplikacje te zaistniały, to zawdzięczać je należy właśnie brakowi tej dozy szczęścia i cudzej nieostrożności.

Na razie otacza nas cała rodzina Bergów i zarówno starzy jak młodzi oraz najmłodsi jej członkowie, zarzucają nas pytaniami.

- Dlaczego Polska przegrała wojnę? Oni mieli nadzieję że ją wygra!
- Czy pan był na wojnie? Ilu Niemców pan zabił?
- Czy zabije pan jeszcze?

Jednocześnie opowiadają sami, jak Niemcy jechali przez Słowację do Polski, jak potem z Polski szły ogromne transporty z zabitymi i rannymi. Jak źle że Polska i Czechosłowacja nie szły razem ręka w rękę. Że pojutrze jest święto rocznicy "niepodległości" Słowacji, ale to jest świństwo, bo ważna jest "Czechosłowacja", a nie "Słowacja", itd. itd.

Profesor wszczyna z Bergiem naradę co do dalszej naszej trasy. Ponieważ jechać ku granicy nie można, więc chcemy tu sprowadzić z przygranicznej, znanej nam wsi, przewodników, aby już stąd wyruszyć polami, omijając wsie i osiedla ludzkie. Berg doradza aby

do przewodnika posłać kartkę przez tę partię Polaków, która przyjechała tu przed nami z przewodnikiem konsularnym, a którą on, Berg, umieścił w innym domu. Partia ta wyrusza jutro i ma trasę również przez tę wieś, o którą nam chodzi, więc o ile się zgodzą kartkę doręczyć, wszystko będzie załatwione, i pozostanie tylko czekać. Na razie przystępujemy do handlu.

A więc idzie na stół reszta zegarków, swetry, jeden garnitur /Olszewski pozostaje bez marynarki, tylko w swetrze/, no i złota rezerwa - pierścionki. Młody Berg zabiera to wszystko gdzieś na miasto i po godzinie mamy pieniędzy prawdopodobnie dość, ale nie za dużo. W każdym razie, uwzględniając ceny na Słowacji, długo tu siedzieć nie możemy. Koszt przewodnika nie powinien wynieść więcej niż 400-500 koron, a my mamy ich znowu około 1000.

Nawiązujemy łączność z pierwszą grupą. Zgadzają się zabrać naszą kartkę i przewodników nam przyślą.

All right! Czekamy. Mija dzień następny. Grupa pierwsza pojechała wynajętymi saniami. Nadchodzi drugi dzień czekania, w środku którego robi się raptem w sieni wielki lament i wpada przerażona Bergżanka.

- Uciekajcie, waszych złapali i prowadzą. U papy rewizja!

Na długie wypytywania niema czasu.

- Gdzie?

- Za dom i w pole!

Chwytamy okrycia i ubierając się w biegu, wysypujemy się z mieszkania. Biegniemy boczną uliczką za miasto, bez planu, z chaosem w głowie. Instynktownie rozsypujemy się na zwykłe grupki i tak wychodzimy na drogę za ogrodami podmiejskich gospodarstw.

Jest państwowe święto. Gdzieś w oddali gra muzyka. Ludzi pełno. Bez porozumienia się między sobą, nic począć nie możemy. Trzeba się zastanowić i to prędko, potem zaś podejść do innych. Tamci uplasowali się dobrze. Dwóch stoi na moście i pluje w wodę. Profesor poszedł spacerowym krokiem naprzód. Olszewski poprawia w krzakach garderobę. My z Jurkiem spacerujemy między nimi. Tak mija około pół godziny. Zaczynam myśleć że "planowość" naszej wyprawy

diabli wzięli i wobec tego trzeba powiedzieć innym, że ruszamy bez przewodnika, na los szczęścia. Kierunek i teren koło Budzimira, przy granicy, na wszelki wypadek przestudiowaliśmy wszyscy, tak z mapy jak i z informacji profesora. - W tym momencie widzę, jak od strony miasta ukazuje się niewieścia postać w czerwonej chusteczce, w której poznaję Beržankę. Od razu robi mi się weselej, bo dowiemy się czegoś nowego. Idziemy, nie zmieniając kroku na jej spotkanie i mijając się, jak dobrzy znajomi, zatrzymujemy się i wymieniamy parę zdań.

- Widzi pan ten komin? to żydowska cegielnia. Idę tam, aby się zapytać, czy was tymczasem nie schowają. Idźcie powoli za mną.

Po chwili, wzywani z za bramy wymownymi gestami przez grubego Żyda, wkraczamy prędko, para za parą, do mieszkania fabrykanta.

Radość nasza z tymczasowego wywikłania się z przykrej sytuacji, udziela się gospodarzom i ogólny śmiech zapanowuje za chwilę niepodzielnie. Herbata na stole. Nie mniej liczna, jak u Bergów rodzina obsługuje nas, życząc "dobru chut'" czyli "smacznego" i znowu niekończone wypytywania się. Ale sytuacja w gruncie rzeczy nie wesoła. Wypytujemy Beržankę co się stało. A więc przewodnik tamtej grupy, zbyt pewny siebie, zajechał saniami za blisko granicy, gdzie ich złapano. Troje, w tym jedna kobieta, zdołało uciec za granicę, ale troje innych przyprowadzono do więzienia w Preszowie. Fornal, który ich wiózł, aresztowany również. Kartki naszej nie doręczyli. Rewizja u papy szczęśliwie zakończyła się poczęstunkiem. W każdym razie mieszkanie jest teraz pod nadzorem, więc wrócić tam nie można. Obecny gospodarz nasz zaznacza, że u niego również nocować nie możemy, bo jest tu zbyt dużo robotników i Hlinkowcy się zaraz dowiedzą. Kłopot tym większy, że dwa dni zmarnowaliśmy nieproduktywnie, a przewodnik ciągle nie wezwany. Iść do niego ku granicy, Żydzi się boją. A maszerować samemu 30 kilometrów przez liczne wsie, których ominąć sami nie potrafimy, to pewne narażenie się conajmniej na niemiłe przygody, bo w tym okresie czasu łapano już naszych zawzięcie po wszystkich wsiach i drogach. Postanawiamy przeto

wysłać jednego z nas do pogranicznej wsi, bylebyśmy dostali do niej przewodnika. Całą kupą iść do tej wsi nie możemy, bo nie wiadomo co możemy zastać. Berżanka sprowadza nam takiego "mniejszego" przewodnika, który podejmuje się do tej wsi zaprowadzić. Jest to mizerny żydek, który chodzi po jarmarkach, więc on "wszystko wie" i "wszystkie drogi zna". Zaufania naszego zbytnio nie wzbudza, ale wyboru niema i dwaj najbardziej wysportowani nasi koledzy, to jest Pyzalski i Wożyncewicz, podejmują się iść z nim i przewodnika sprowadzić.

Uchwalamy również, że o ile czekanie na nas będzie dla nich niebezpieczne lub niedogodne, upoważniamy ich do przekroczenia granicy bez nas. Ponieważ idą "w nieznane", a muszą przytym opłacić jeszcze przewodnika-żydka, więc oddajemy im połowe wszystkich pieniędzy i prosimy tylko aby pospieszali.

.c.d.n.

Z ostatniej chwili /13.V.44/.

CENA NUMERU 6d. PRENUMERATA POŁROCZNA 6/-
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
43, BRUNTSFIELD PLACE, EDINBURGH, 10.
Tel. 53061.

Edited and printed by J. Stoliński 43, Bruntsfield Place - Edinburgh.
Printed by "Co słychać"